

Jak czytać, rozumieć i przekładać polskie umowy na język angielski?

Wydanie 2.

Przejdź do produktu na ksiegarnia.beck.pl

Rozdział 1. Co tłumacz powinien wiedzieć, zanim zacznie tłumaczyć umowy?

Końcowy wynik pracy tłumacza zależy nie tylko od biegłości językowej i zaznajomienia z terminologią, jak się powszechnie uważa, ale w znacznym stopniu również od założeń przyjętych przed rozpoczęciem pracy nad przekładem umowy. Systematyczne omówienie gramatycznych i terminologicznych aspektów tłumaczenia poszczególnych części tego typu tekstów z języka polskiego na angielski poprzedzone jest zatem poniżej zwięzłym przedstawieniem kwestii strategii przekładu umów, uwarunkowań ich optymalnego doboru oraz rozwiązań przyjętych w tym zakresie w dalszych rozdziałach.

1.1. Strategie przekładu umów

Przed przystąpieniem do przekładu tłumacz podejmuje szereg decyzji, które przesądzą o kształcie, jaki nada tekstowi w języku docelowym. Podejmując się przetłumaczenia polskiej umowy na język angielski, musi na przykład wiedzieć, jak będzie formułować zdania w przekładzie, a do wyboru, jak zwykle w życiu, ma kilka wyraźnie różnych opcji.

Tłumacz może przyjąć, że sięgnie do tradycyjnych wzorców angielskich, stosując przy każdej sposobności czasownik modalny *shall* oraz zaimek *herein, therewith* etc., których popularność sięgnęła szczytu w czasach Szekspira, albo wybrać zasady promowane przez *the plain language movement*, czyli *ruch prostego języka prawnego*, zalecające porzucenie takich relikwów przeszłości i budowanie zadań w sposób bardziej zrozumiały dla współczesnego czytelnika.

W zależności od preferencji tłumacza banalne zdanie rozpoczynające się od słów:

Strony umowy mają prawo...

może więc w języku angielskim przybrać brzmienie:

The parties hereto shall have the right...

albo

The parties to this agreement have the right...

Obie wersje dobrze oddają znaczenie polskiego oryginału, ale czerpią z diametralnie różnych tradycji redagowania tekstów w angielskim języku prawa i prowadzą do powstania zupełnie inaczej brzmiących przekładów. Tłumacz musi więc wybrać jedną z zarysowanych powyżej opcji, bądź też jakieś leżące między nimi rozwiązanie kompromisowe, i konsekwentnie stosować się do swego wyboru od pierwszej linijki tłumaczenia, bo dotyczy on elementów gramatyki i słownictwa, które przejawiają się praktycznie w każdym zdaniu.

Równie duży wpływ na kształt przekładu umowy mają poglądy tłumacza na zakres, w jakim określenia standardowo stosowane w angielskim języku prawa są równoważne terminom polskim. Tłumacz może na przykład uważać, że należy stosować w przekładzie utarte terminy angielskie, ponieważ ich znaczenia tylko nieznacznie odbiegają od określeń polskich, ale może również żywić przekonanie odwrotne i unikać tradycyjnych terminów angielskich, uznając, że ich znaczenia zanedbto różnią się od polskich oryginałów. Przyjmując drugą z tych postaw, tłumacz może z kolei sięgać albo po określenia w miarę neutralne, które występują w angielskim języku prawa, ale nie są nadmiernie obciążone bagażem tradycji, albo też, nieco bardziej radykalnie, używać określeń, których w angielskim języku prawa raczej się nie spotyka. Prosto brzmiący urywek:

Umowa zawarta w...

można więc przełożyć na co najmniej trzy równorzędne sposoby:

a) The agreement made and entered into in...

b) The agreement entered into in...

c) The agreement concluded in...

W wersji (a) wykorzystano czasowniki tradycyjnie występujące w umowach sporządzanych w krajach anglojęzycznych, w wersji (b) użyto czasownika, który preferują zwolennicy uproszczenia angielskiego języka prawa, a w wersji (c) zastosowano czasownik, który w tej odmianie angielszczyzny obecnie występuje rzadko, ale w przywołanym kontekście jest przez wielu tłumaczy stosowany jako odpowiednik polskiego *zawrzeć*.

Ponieważ terminów z zakresu prawa można się spodziewać w praktycznie każdym zdaniu umowy, tłumacz musi przyjąć jakiś sposób ich przekładu, na przykład jeden ze wskazanych powyżej, i konsekwentnie stosować już od pierwszej linijki tłumaczenia, a zatem postępować tak samo jak w kwestii budowy zdania zarysowanej powyżej. Teoretycznie rzecz biorąc, oba te zagadnienia dają więc tłumaczom już co najmniej sześć różnych kombinacji stylistycznych do wyboru, a na tym nie koniec, ponieważ trzeba jeszcze wybrać pomiędzy brytyjską a amerykańską odmianą języka prawa, nie wspominając o szkockiej, zdecydować, jak postąpić w sytuacji, gdy polski termin wyraża pojęcie niewystępujące w systemach prawnych krajów anglosaskich, a więc nie posiada nawet przybliżonego angielskiego odpowiednika, etc.

W praktyce liczba opcji do wyboru dla tłumacza jest jednak znacznie mniejsza, niż mogłoby wynikać z takich wyliczeń, ponieważ ograniczają ją sprzężenie logiki i rutyny. Niektóre połączenia wskazanych powyżej rozwiązań są bowiem rażąco niespójne, np. budowanie zdań zgodnie z wielowiekową tradycją angielskiego języka prawa w powiązaniu ze stosowaniem terminologii opartej na wzorcach polskich, i niewielu jest tłumaczy, którzy się na takie nielogiczne opcje decydują. Rutyna powoduje natomiast, że wielu tłumaczy nie podejmuje decyzji w wymienionych powyżej kwestiach przed przystąpieniem do każdego tłumaczenia, co mogłoby zwiększyć różnorodność dobieranych rozwiązań, ale stosuje jedno podejście przyjęte znacznie wcześniej, zazwyczaj u progu kariery, i wytrwale powtarza je przez lata w kolejno przekładanych tekstach.

Nawet w takim nieelastycznym przypadku nie ulega jednak wątpliwości, że decyzje w kluczowych kwestiach przesądzających o kształcie przekładu podejmowane są przed przystąpieniem tłumacza do pracy nad tekstem. Są to bowiem decyzje kierunkowe, wytyczające drogę postępowania tłumacza i wskazujące, jak spójnie formować kolejne zdania, ustępy i paragrafy przekładanych umów. Innymi słowy, są to decyzje o charakterze strategicznym, a ich pełny zestaw stanowi strategię, jaką obrał tłumacz.

Badacze przekładu, którzy pokusili się o zdefiniowanie strategii postępowania tłumacza, zazwyczaj określali je bardzo ogólnie, aby miały zastosowanie do wielu rodzajów tekstów, od przekładu poezji po tłumaczenie instrukcji obsługi, i w związku z tym nadawali im górnolotne nazwy, np. *foreignization* / *egzotyzacja* etc. Przekład umów z języka polskiego na angielski jest zagadnieniem znacznie węższym, które nie wymaga uciekania się do tak daleko idących uogólnień, w związku z czym stosowane na tym polu strategie określają schemat postępowania tłumacza w znacznie większych szczegółach, co pozwala z kolei na stosowanie bardziej wyrazistego nazewnictwa.

Granice swobody tłumaczy w doborze strategii przekładu polskich umów wytyczają dwa skrajne rozwiązania przedstawione poniżej:

- (a) strategia anglocentryczna, promująca stosowanie w przekładzie tradycyjnych cech gramatycznych i słownikowych angielskiego języka prawa oraz wyłącznie anglojęzycznej terminologii. Jest to zatem strategia, której celem jest maksymalne zbliżenie brzmienia przekładu polskiej umowy do brzmienia umów sporządzanych w krajach anglojęzycznych;
- (b) strategia polskocentryczna, promująca stosowanie w przekładzie cech gramatycznych i słownikowych wzorowanych na polszczyźnie oraz terminologii prawa polskiego. Jest to zatem strategia, której celem jest maksymalne zbliżenie brzmienia przekładu polskiej umowy na język angielski do brzmienia oryginału.

Jak łatwo się można domyślić, wśród czynników motywujących do stosowania strategii anglocentrycznej dominują dwa: chęć sporządzenia przekładu, który czytelnikowi anglojęzycznemu zapewni komfort łatwego zapoznania się z tekstem umowy, oraz przeświadczenie tłumacza, że zastąpienie terminów polskich standardowymi określeniami angielskimi nie wypaczy treści oryginału, bo ich znaczenia nie różnią się aż tak bardzo, jak można by podejrzewać. Przyświecający tej strategii cel jest więc szczytny, ale towarzyszące mu założenie o równoważności polskiej i angielskiej terminologii w wielu przypadkach jest nie do obrony.

Zastosowanie tej strategii do niewinnie wyglądającego fragmentu: *Powiat, jako strona umowy, ma prawo do...*, prowadzi np. do powstania płynnego, ale mało precyzyjnego przekładu, np.: **The county, as a party hereto, shall have the right to...**, który równie wyraźnie co mylnie sugeruje, że *powiat* i **county** to jednostki podziału administracyjnego

i samorządu terytorialnego wykonujące takie same zadania oraz posiadające identyczne organy władzy wyposażone w co najmniej bardzo zbliżone zakresy kompetencji.

Zwolennicy strategii polskocentrycznej polegają z kolei na założeniu, że znaczenia terminów polskich tak bardzo odbiegają od określeń stosowanych w krajach anglosaskich, że nie można ich stosować zamienne, w związku z czym celowo sięgają po wyrażenia wzorowane na polszczyźnie. Kierując się chęcią zachowania pełnego znaczenia oryginału, tworzą więc przekłady, które dla anglojęzycznego czytelnika brzmią obco, pomimo posługiwania się prostymi i współczesnymi strukturami gramatycznymi. Przyświecający tej strategii cel jest zatem również godny pochwały, ale szanse na jego osiągnięcie są znikome, bo opierają się na mało realnym założeniu, że czytelnicy przekładów poświęcą sporo czasu i niemało energii, aby z nieznanym sobie terminów i zwrotów wyłuskać znaczenia, jakie ukrył w nich tłumacz.

Wybór tej strategii prowadzi np. do przełożenia urywka: *Powiat, jako strona umowy, ma prawo do...*, na: **The powiat, as a party to this agreement, has the right to...**, co dla polskiego ucha brzmi znajomo i precyzyjnie, ale dla anglojęzycznych czytelników będzie trudne do rozgrzyzienia, bo terminu *powiat* nie znajdą w żadnym słowniku.

Pomiędzy zarysowanymi powyżej skrajnościami można oczywiście wytyczyć wiele rozwiązań pośrednich, np. może to być:

- (c) strategia umiarkowanie tradycyjna, promująca stosowanie w przekładzie elementów gramatycznych i słownikowych, które standardowo występują w angielskim języku prawa, ale nie są nadmiernie obciążone wiekowym bagażem tradycji, a tam, gdzie to konieczne, posługiwanie się terminologią używaną w krajach anglosaskich do opisu sytuacji prawnej za granicą. Jest to zatem strategia, której celem jest przekład mieszczący się w kanonie anglosaskiej tradycji redagowania umów, ale jednocześnie pozbawiony bezpośrednich odniesień do tradycji i kultury prawnej, w której zakorzeniony był oryginał.

Tego typu strategia stanowi zatem próbę znalezienia kompromisu pomiędzy podejściem polskocentrycznym i anglocentrycznym poprzez neutralizację ich najsłabszych stron. W podejściu tym odrzuca się zatem bezrefleksyjne zastępowanie wszystkich polskich terminów angielskimi, bo ich znaczenia nie zawsze się pokrywają, i wyklucza się stosowanie angielskich określeń wzorowanych na polskich zwrotach i terminach, bo brzmią zbyt obco, aby zapewnić czytelnikowi komfort

swobodnego rozumienia przełożonego tekstu umowy. Zakłada się natomiast, że złotym środkiem pomiędzy zachowaniem precyzji oryginału i zapewnieniem zrozumiałości przekładu jest stosowanie terminów dobrze znanych anglojęzycznym odbiorcom, ale powszechnie odnoszonych do krajów nieanglosaskich. Przyświecający tej strategii cel jest więc chwalebny, ale jej stosowanie prowadzi do powstawania tłumaczeń uogólnionych, które brzmią gładko, lecz bezpowrotnie zatraciły swoistość oryginału.

Pozornie prosty początek zdania: *Powiat, jako strona umowy, ma prawo do...*, przybiera w tej wersji np. brzmienie: **The district, as a party to this agreement, shall have the right to...**, co rzeczywiście jednocześnie nawiązuje do tradycji i jest łatwe do zrozumienia, ale może się odnosić do dowolnego nieanglosaskiego kraju świata, od Polski przez Portugalię i Paragwaj po Pakistan, i nie zachowuje krzty autentyczności. Kolejna jest:

- (d) strategia uproszczona, promująca stosowanie w przekładzie zasad prostego języka prawa, nakazujących unikanie elementów gramatycznych i słownikowych kojarzonych z anglosaską tradycją redagowania umów, a tam, gdzie to możliwe, posługiwanie się neutralną terminologią anglojęzyczną stosowaną do opisu sytuacji prawnej za granicą. Jest to zatem strategia, której celem jest przekład łatwo zrozumiały dla każdego anglojęzycznego odbiorcy i programowo pozbawiony bezpośrednich odniesień do tradycji i kultury prawnej, w której zakorzeniony był oryginał.

Podejście to nie proponuje zatem kompromisu pomiędzy strategią polskocentryczną i anglocentryczną, ale ich radykalne odrzucenie. Programowo nie stosuje się w nim ani angielskich określeń wzorowanych na polskich zwrotach i terminach, ani konwencjonalnych terminów angielskich, ani tradycyjnych cech gramatycznych angielskiego języka prawa, ponieważ zakłada się, że dla współczesnego czytelnika wszystkie te elementy brzmią zbyt obco, aby zapewnić mu swobodę rozumienia przełożonej na angielski umowy. Przyjmuje się natomiast, że gwarantem skutecznego wypośrodkowania między precyzją oryginału i zrozumiałością przekładu jest stosowanie prostego języka prawa. Cel nadrzędny tej strategii jest więc ambitny, ale jej używanie prowadzi do powstawania tłumaczeń uogólnionych i uproszczonych, pozbawionych specyfiki oryginału.

Przywoływany już powyżej fragment: *Powiat, jako strona umowy, ma prawo do...*, w takiej konwencji należy przełożyć na: **The district, as a party to this agreement, has the right to...**, co, zgodnie z założeniami, rzeczywiście brzmi prosto i współcześnie, ale jednocześnie również powierzchownie i banalnie.

Sytuacja tłumacza umów jest więc dosyć osobliwa. Nie jest aż tak zła jak skazanych na piekło w *Boskiej komedii* Dantego, których wita napis: *Porzućcie wszelką nadzieję*, niemniej wymaga, aby pożegnać się z nadzieją na znalezienie strategii idealnej, która zagwarantuje powstanie przekładu w pełni zrozumiałego dla czytelnika i całkowicie zbieżnego z oryginałem. Każda strategia ma wady wrodzone i powoduje niepożądane skutki uboczne, ale tłumacz musi jakąś wybrać. Aby był to wybór przemyślany, musi zdawać sobie sprawę z szerszych uwarunkowań podjęcia tej kluczowej decyzji.

1.2. Konflikt systemów prawnych

Tak niekorzystne położenie tłumacza umów z języka polskiego na angielski nie wynika jednak tylko z bariery językowej. W znacznym stopniu przyczynia się do niego również niespójność systemów prawnych, jakie przyjęto w Polsce i krajach anglosaskich.

Prawo polskie jest typowym przykładem systemu prawa kontynentalnego, który wywodzi się z prawa rzymskiego i króluje, jak jasno wskazuje nazwa, w kontynentalnej części Europy oraz wielu rozrzuconych po świecie państwach, które w przeszłości były koloniami Francji, Hiszpanii, Portugalii czy Holandii. Najbardziej charakterystyczną cechą tego systemu jest założenie, że jedynym źródłem prawa są normy uchwalane przez powołane do tego władze ustawodawcze, np. w Polsce Sejm i Senat. Normy te najczęściej przybierają formę precyzyjnie skonstruowanych, ale pojemnych definicji, np. osoby prawnej, akcyzy czy umowy sprzedaży, i zazwyczaj zamieszczane są w tematycznie zredagowanych ustawach (np. *Ustawa o podatku od towarów i usług*, *Prawo budowlane* etc.), a najbardziej fundamentalne i opasłe z nich z reguły nazywane są kodeksami (np. *Kodeks cywilny*, *Kodeks pracy*, *Kodeks spółek handlowych* etc.). Niezależnie od nazwy, jaką nadano ustawie, zawarte w niej przepisy z zasady sformułowane są w sposób ogólny, tak aby można je było łatwo stosować do milionów różnych przypadków, np. postanowień umów czy wynikłych z nich sporów.

Prawo obowiązujące w zdecydowanej większości krajów anglosaskich przynależy natomiast do systemu, który po polsku i angielsku określa się terminem **common law**. W systemie tym władze ustawodawcze, np. Izba Gmin i Izba Lordów w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, również uchwalają ustawy, które są źródłem powszechnie obowiązujących przepisów, ale nie jest to jedyne źródło prawa. Drugim, równie ważnym, jest **case law**, czyli *orzecznictwo*, jak formalnie określa się wyroki sądów.

Taka rola orzecznictwa wynika z przyjętej w **common law** zasady, która obliuguje sądy do wydawania wyroków zbieżnych z najstarszym orzeczeniem w rozpatrywanym typie sprawy, określanym terminem **precedent**, czyli *precedens*. Sędziowie wydający takie pionierskie wyroki ustanawiają zatem normy prawne, które są następnie powszechnie stosowane przez sądy w całym kraju, co oznacza, że pełnią taką samą funkcję prawotwórczą jak posłowie i lordowie uchwalający ustawy. Precedensowe wyroki nie zawierają jednak tylko rozstrzygnięć sporów, ale częstokroć także definicje pojęć prawnych, które nie były dotąd wystarczająco jasno sprecyzowane, czy wykładnię przepisów, które rodziły wątpliwości.

Oba źródła anglosaskiego prawa uzupełniają się więc, ale, niestety, w sposób, który jest bardzo niekorzystany dla tłumaczy polskich umów, i to z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, kraje anglosaskie od stuleci nie doświadczyły tak drastycznych wydarzeń jak rozbiory czy okupacja i zachowały wielowiekową ciągłość prawa. Część stosowanych po dziś dzień ustaw i precedensów wywodzi się z czasów dawno minionych, zachowując w użyciu pojęcia, procedury i instytucje prawne, które w Polsce zostały już zapomniane, co nadaje ich angielskim nazwom wzruszającą patynę czasu, ale utrudnia dopatrzenie się w nich wiarygodnych odpowiedników polskich terminów, których obecne definicje rzadko liczą więcej niż kilkanaście lat. Typowym przykładem takiej sytuacji są pojęcia i procedury stosowane w krajach anglosaskich w obrocie nieruchomościami, nadal odwołujące się np. do powinności lennych. Aby w pełni uświadomić sobie skalę problemu, wystarczy rzucić okiem na kilka dat. Za początek **common law** uznaje się rok 1154, najstarszy stosowany po dziś dzień precedens pochodzi z roku 1220, najstarsza obowiązująca do dziś angielska ustawa z roku 1267, zaś najbardziej wiekową obecnie polską ustawę, *Prawo wekslowe*, uchwalono w roku 1936.

Po drugie, anglosaskimi ustawami z reguły regulowane są kwestie, które z punktu widzenia historii prawa są stosunkowo nowe, jak spół-

ki kapitałowe, obrót papierami wartościowymi czy postępowanie upadłościowe, a zagadnienia ze starszym rodowodem, które przewijają się w umowach od wieków, takie jak zdolność do czynności prawnych, dobra wiara czy należyta staranność, z reguły zdefiniowane są wyłącznie w precedensowych wyrokach wydawanych na przestrzeni wieków. Anglosaskie definicje takich pojęć nie są w związku z tym usystematyzowane w postaci uchwalanych przez parlament kodeksów, jak jest to praktykowane w krajach stosujących system prawa kontynentalnego, i odzwierciedlają poglądy pojedynczych sędziów, którzy wydawali precedensowe wyroki w czasach i okolicznościach niejednokrotnie zdecydowanie różnych od panujących obecnie, co często prowadzi do odmiennego rozumienia pozornie tych samych pojęć w Polsce i krajach anglosaskich.

Po trzecie, stosowana w krajach anglosaskich terminologia jest niejednorodna, i to nie tylko dlatego, że krajów tych jest sporo i w każdym z nich z czasem pojawiły się odrębne precedensy, inaczej ujmujące te same kwestie prawne, a w niektórych, jak w Szkocji czy USA, nawet odrębne nazewnictwo. O wiele większym utrudnieniem w dobieraniu angielskich odpowiedników polskich terminów jest pozorne dublowanie się niektórych określeń, np. zarówno **judgment**, jak i **decree** to po polsku *wyrok*, co rodzi pytanie, którego z tych rzeczowników należy użyć, tłumacząc na język angielski.

To kłopotliwe dla tłumacza zjawisko ma dwa źródła. Pierwszym jest dosyć osobliwy fakt, że przez ponad pięćset lat w Anglii i na opanowanych przez nią terytoriach działały dwa odrębne systemy sądownicze, w których orzekano na podstawie odrębnych przepisów. W starszym z nich, działającym pod patronatem króla, orzekano na podstawie **common law**, a w młodszym rozpatrywano sprawy na podstawie **maxims of equity**, czyli *zasad sprawiedliwości*, które wprowadził kanclerz jej królewskiej mości, czyli **chancellor**, by godziwie rozstrzygać spory, z jakimi nie radziły sobie sądy królewskie. Aby dobitniej podkreślić różnice dzielące oba typy sądów, z biegiem lat wprowadzono w nich odrębne nazewnictwo, które niestety zachowano, gdy oba systemy połączono za panowania królowej Wiktorii.

Choć osobne sądy królewskie i kanclerskie nie istnieją już od półtora wieku, wypracowana w nich pierwotnie terminologia pozostaje w użyciu, sprawiając wrażenie, że część terminów jest zdublowana. W rzeczywistości natomiast terminów stosowanych w sądach królewskich w dalszym ciągu używa się do opisu spraw, które kiedyś mieściły się w ich kompe-

tencjach, a terminologię wypracowaną w sądach kanclerskich stosuje się do kwestii, które one niegdyś rozstrzygały. Przywołany powyżej termin **judgment** nadal oznacza zatem *wyrok* w sprawie, którą przed połączeniem systemów sądowniczych wydałby sąd królewski, zasądzając np. odszkodowanie za wadliwe wykonanie usługi, a pozornie równoważny mu termin **decree** ciągle określa *wyrok*, jaki w tamtych czasach mógłby wydać tylko sąd kanclerski, orzekając np. zwrot mienia przejętego z naruszeniem prawa.

Takich przypadków nie jest zbyt wiele, ale dotyczą często stosowanych terminów. Sytuacja tłumaczy byłaby więc o wiele bardziej komfortowa, gdyby łącząc systemy sądownicze, ujednolicono stosowaną w nich terminologię, ale na tak rewolucyjny krok nikt się ani wtedy, ani później nieśtety nie zdecydował. Tłumacze poradzili sobie jednak sami, przyjmując niepisaną zasadę stosowania w przekładach na język angielski terminologii sądów królewskich, a zatem niezależnie od kwestii, jaką rozstrzyga polski wyrok, po angielsku określa się go terminem **judgement**, a nie **decree**, i tak samo postępuje się w kilkunastu podobnych przypadkach, jak będzie o tym szczegółowo mowa w dalszych rozdziałach.

Druga przyczyna pozornego dublowania się anglosaskich terminów jest znacznie bardziej prozaiczna. W roku 1999 w Anglii i Walii, które stanowią wspólny obszar prawny, wprowadzono reformę zasad postępowania przed sądami w sprawach cywilnych, mającą między innymi na celu uproszczenie terminologii, tak aby stała się bardziej zrozumiała dla ogółu społeczeństwa. Na przykład termin **plaintiff**, jakim od wieków w sądach królewskich nazywano *powoda/powódkę*, zastąpiono określeniem **claimant**; podobnie postąpiono z nazwami wielu dokumentów sądowych. W innych krajach anglosaskich takich zmian jednak nie dokonano, co doprowadziło do sytuacji, w której jednolita jeszcze niedawno terminologia uległa rozdwójnieniu. W Anglii i Walii *powód* występujący z pozwem zawierającym roszczenie odszkodowawcze to zatem obecnie **claimant**, ale w Irlandii Północnej, która posiada odrębny system prawny, czy Irlandii, nie wspominając o dalej od Polski położonych krajach anglosaskich, to nadal **plaintiff**.

Zróznicowanie geograficzne spowodowane wspomnianą reformą pogłębiają jeszcze względy historyczne, jako że Szkocja od wieków posiada swój własny system prawny, oparty na znacząco innych zasadach niż obowiązujący w pozostałych częściach Wielkiej Brytanii, a w nim np. *powoda* określa się terminem **pursuer**. Tak rozwinięta różnorodność terminolo-

giczna nie utrudnia jednak znacząco doboru właściwego odpowiednika w tłumaczeniu na język angielski, ponieważ w kraju zamieszkania zleceniodawcy przekładu stosuje się tylko jeden termin, którego należy w takim przypadku użyć.

Zarysowane powyżej różnice dzielące systemy prawne przyjęte w Polsce i krajach anglosaskich wpływają także na sposób sporządzania umów. Najłatwiej zauważalnym przejawem takiego wpływu jest znaczna różnica w objętości pomiędzy umowami sporządzanymi w oparciu o prawo polskie a umowami bazującymi na **common law**. Te sporządzane w Polsce, tak jak w pozostałych krajach stosujących system prawa kontynentalnego, przeważnie mieszczą się na kilku stronach i rzadko osiągają większe rozmiary, podczas gdy w krajach anglosaskich nawet stosunkowo proste umowy często liczą kilkanaście stron, a w bardziej skomplikowanych przypadkach – nierzadko ponad pięćdziesiąt.

Umowy polskie są znacznie zwięźlejsze, ponieważ zasady określające ich wykładnię, zgodnie z przywołanymi powyżej pryncypiami systemu prawa kontynentalnego, zdefiniowane są w *Kodeksie cywilnym*, co wystarczy krótko ująć w prostej formule, która np. przyjmuje brzmienie:

W kwestiach nieuregulowanych postanowieniami niniejszej umowy mają zastosowanie odpowiednie przepisy Kodeksu cywilnego.

Klauzula ta występuje w kilku różnych wariantach, których przekład będzie szczegółowo omawiany w rozdziale 4, ale każdy z nich odsyła za interesowanych do *Kodeksu cywilnego* mniej więcej w taki sposób, jakby stanowił on integralną część każdej zawieranej w Polsce umowy.

Prawnicy sporządzający umowy w krajach anglosaskich nie mają takiego komfortu, ponieważ lwia część zasad określających wykładnię umów w systemie **common law** rozproszonych jest po dziesiątkach precedensowych wyroków i nie da się wskazać zbioru, w którym byłyby zgromadzone w komplecie. Aby je przywołać, muszą je po prostu zacytować w powszechnie przyjętym brzmieniu, dodając do umowy długi ciąg klauzul mniej więcej w taki sposób, jakby do polskiej umowy ktoś wkleił wszystkie postanowienia *Kodeksu cywilnego*, które jej dotyczą. Efekt jest taki, że anglosaskie umowy biją rekordy długości, a polskie – zwięzłości.

1.3. Przesłanki doboru strategii przekładu

Z uwagi na zarysowane powyżej uwarunkowania całość dalszego opisu przekładu polskich umów na język angielski oparta będzie na dwóch strategiach pośrednich pokrótce scharakteryzowanych w podrozdziale 1.1 powyżej.

Wybór ten wynika z dwóch głównych przesłanek. Pierwszą jest przekonanie, że przekłady powstają po to, aby czytelnikom, którzy nie są wystarczająco biegli w języku obcym, umożliwić swobodne zrozumienie oryginału. Założenie to wyklucza zatem wybór strategii skrajnych, zarówno polskocentrycznej, jak i anglocentrycznej.

Preferując stosowanie określeń wzorowanych na polskich zwrotach i terminach, strategia polskocentryczna prowadzi bowiem do powstawania tłumaczeń, które nie brzmią naturalnie w języku angielskim, zawierają nieznane czytelnikom słowa i są trudne w lekturze. Zastosowanie jej zapewnia komfort tłumaczowi, który ma prawo żywić przekonanie, że uczynił wszystko, aby nie uronić zbyt wiele z oryginału, ale skazuje czytelnika na problemy ze zrozumieniem tego, co mu zostało w takim przekładzie przekazane.

Strategia anglocentryczna, skupiając się na stosowaniu terminologii zaczerpniętej wyłącznie z systemów prawych krajów anglosaskich, prowadzi natomiast do powstawania przekładów, które w języku angielskim brzmią jak najbardziej naturalnie, ale przemilczają występowanie w polskich umowach terminów niemających wystarczająco precyzyjnych angielskich odpowiedników albo ich wcale nieposiadających. Stosowanie takiej strategii daje tłumaczowi przekonanie, że maksymalnie ułatwił lekturę trudnego obcojęzycznego tekstu, ale nie daje czytelnikowi szans na jego pełne i prawidłowe zrozumienie.

Drugą przesłanką jest dosyć nierównomiernie postępująca ewolucja stylu redagowania umów w krajach anglosaskich. Od mniej więcej trzech dekad **the plain language movement**, czyli *ruch prostego języka prawa*, podejmuje próby przekonania prawników do porzucenia tradycyjnych konwencji redakcyjnych uświęconych wiekami praktyki, ale postulaty te nie wszędzie padają na jednakowo podatny grunt. Obecny zakres stosowania zasad prostego języka prawa różni się więc znacznie, i to nie tylko pomiędzy poszczególnymi krajami, ale również między typami umów, a nawet sporządzającymi je kancelariami prawnymi.

Umowy zawierane w sprawach stosunkowo prostych i niewiązanych się z poważnymi płatnościami, szczególnie z dala od USA, coraz częściej sporządzane są zgodnie z postulatami ruchu prostego języka prawa, jednak umowy dotyczące transakcji opiewających na znaczne sumy praktycznie w każdym kraju anglosaskim w dalszym ciągu przygotowywane są według wzorców tradycyjnych. Nie można więc obrać jednej strategii przekładu wszystkich umów, ale należy przyjąć co najmniej dwie, ponieważ dominujący wzorzec redagowania umowy kształtuje również oczekiwania odbiorców ich przekładów na język angielski.

W dalszych trzech rozdziałach przekład umów omawiany będzie zatem w dwóch wariantach – według strategii, której nadano powyżej miano umiarkowanej tradycyjnej, a dalej, dla prostoty, zwanej po prostu tradycyjną, oraz według strategii uproszczonej, realizującej postulaty prostego języka prawa. W rozpoczynającym się za chwilę rozdziale 2, poświęconym przekładowi nazw umów oraz komparacji, czyli oznaczaniu ich stron oraz miejsca i czasu zawarcia, nie będzie to jeszcze zbyt widoczne, ponieważ wersje wynikające z zastosowania obu strategii rzadko się w tych partiach tekstu różnią. W rozdziale 3, dotyczącym treści umowy, a więc jej przedmiotu oraz warunków, na jakich strony doszły do porozumienia, omówienie obu strategii będzie już jednak wyraźnie rozdzielone. Zastosowanie strategii tradycyjnej zostanie szeroko przedstawione na przykładach umowy sprzedaży udziałów spółki w podrozdziale 3.1 oraz notarialnej umowy sprzedaży nieruchomości w podrozdziale 3.2, a strategii uproszczonej – na przykładzie umowy o pracę w podrozdziale 3.3. Schemat ten kontynuowany będzie w rozdziale 4, dotyczącym przekładu postanowień końcowych umowy. Ponieważ z zasady są one raczej niedługie i w praktycznie wszystkich umowach przyjmują bardzo podobne brzmienie, zastosowanie obu podejść zostanie w tym przypadku omówione równolegle, bez dzielenia treści na osobne podrozdziały poświęcone strategii tradycyjnej i uproszczonej.

Rozdział 2. Nazwa umowy i komparycja

W porównaniu z treścią umowy jej nazwa i komparycja to bardzo krótkie teksty, ale najeżone trudnościami sięgającymi od specyfiki polskiego nazewnictwa po swobodę naszej składni. Pokonywanie tych przeszkód w przekładzie zostanie omówione poniżej na kilkunastu przykładach, ale – jak zostało to zapowiedziane w ostatnim akapicie poprzedniego rozdziału – jeszcze bez wyraźnego rozgraniczenia na stosowanie strategii tradycyjnej i uproszczonej, ponieważ wersje wynikające ze stosowania obu tych podejść do przekładu początkowych partii tekstu umowy stosunkowo rzadko się różnią.

2.1. Nazwy umów

Z polskiej perspektywy umowy dzielą się na nazwane, czyli takie, które są szczegółowo uregulowane wyodrębnionymi przepisami prawa, oraz nienazwane, które takich osobnych uregulowań ustawowych nie posiadają. Większość umów nazwanych zdefiniowana jest w *Kodeksie cywilnym*, np. umowa zlecenia czy umowa przewozu, ale nie jest to jedyne źródło takich przepisów, a do umów nienazwanych odnoszą się jedynie zawarte w tym samym kodeksie ogólne normy prawa zobowiązań. Jak jasno wskazuje przywołana powyżej terminologia, przepisy regulujące każdą umowę nazwaną zawierają również jej oficjalną polską nazwę, ale dla tłumacza przekładającego na język angielski nie ma to większego znaczenia, ponieważ – jak była o tym mowa w poprzednim rozdziale – w krajach anglosaskich nie stosuje się kodeksów cywilnych, a co za tym idzie – nie klasyfikuje się umów w opisany powyżej sposób i nie nadaje się im urzędowych nazw, których należałoby przestrzegać w przekładzie.

Tłumacz ma więc swobodę działania i może podążać za wskazaniem wybranej przez siebie strategii przekładu. Pierwszą kwestią, z którą musi się zmierzyć, jest wybór odpowiednika terminu *umowa*. Na pierwszy rzut oka wydaje się to proste, ale należy pamiętać, że w języku angielskim uży-

Przejdź do księgarni →

księgarnia.beck.pl